



SUN MROKU

ADA TULIŃSKA

On nie jest tym, na kogo wygląda

SYN MROKU

ADA TULIŃSKA

Copyright © by Adelina Tulińska-Szynkarewicz
Autor grafik na okładce: visual / stock.adobe.com
Autor słowiańskich ozdobników: fontgraf / stock.adobe.com
Autor grafiki na wyklejce: Kate Vigdis / stock.adobe.com

Projekt okładki, DTP: Adelina Tulińska-Szynkarewicz

Redakcja, korekta: Joanna Borek
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka, ani żadna jej część, nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody autorki.

Wydanie I
Łódź 2024
ISBN: 978-83-969452-4-2

Dla fanek mrocznych książek

PLAYLISTA

Atanas Valkov&Georgina Tarasiuk. Legendy Polskie - Jaskółka uwieziona - Cover.

Żywiołak - Wiły

Chris Grey - LET THE WORLD BURN

Kate Peytavin - ever fallen?

Reyn Hartley - Bow

Austin Giorgio - Lips of a Witch

Kiki Rockwell - Burn Your Village (Same Old Energy pt.II)

Jack Harris - Careful What You Wish For

Chandler Leighton - When You Say My Name

PROLOG

Przesuwam palcami czarny kamień na szachownicy. Potem idę białym. Nie mam przeciwnika, więc muszę sobie radzić. Siedzę skulony na kamieniu, zastanawiając się, ile moja udręka może jeszcze trwać. Mrowią mnie skrzydła, nieużywane od dziewięciuset lat.

Czerwona luna pokrywa horyzont za oknem celi, w której odsiaduję wyrok.

Woda skapuje do kamiennej niecki w drugim końcu pomieszczenia.

Nagle słyszę głos, który przypomina mi jedwab. Jest miękki, tęskny i piękny, a jednocześnie niewyraźny i zniekształcony.

Proszę o Derecka... Zrywam się na równe nogi, rozglądając za źródłem głosu. Nikogo tutaj nie ma. *Jeśli mnie słyszycie...* Dochodzi z niecki z wodą, w której faluje obraz rozmazanej dziewczyny o różowych włosach. Podchodzę ostrożnie, zastanawiając się, czy to nie jest sztuczka. Albo test ostateczny. Zapłakana dziewczyna patrzy na mnie wielkimi szarymi oczami. Rozchyła przy tym ciemne od przygryzania usta. Ma dziwny kolor włosów, ale nie ujmuje to jej urody. Widzę to wszystko, jakbym znajdował się na dnie, tuż obok jej stóp. Kładzie wianek na wodzie, sprawiając, że marszczy powierzchnię.

– Jeśli mnie słyszycie Bogowie, zwróćcie mi Derecka. – Widzę, jak jej cudne usta się poruszają. Serce jej pęka na wspomnienie utraconego kochanka. Nie mogę oderwać od niej oczu. Został mi rok wyroku. Ostatnią rzeczą, jaką powinienem zrobić, jest wejście do tej wody.

Tęsknota za nim wypełnia każdą chwilę mojego istnienia, rozszarpuje serce i duszę. Siedzę na pomoście i wpatruję się w błyszczącą wodę pod moimi stopami. Znajduje się tu niewielki uskok, przez co woda wpada jak z wodospadu i bulgocze. Na twarzy czuję wilgotną bryzę. Mam ochotę zrzucić buty i zanurzyć stopy, ale to oczywiście byłoby nierozsądne, bo nie dosięgnę.

To moje ostatnie wakacje w Black River Falls. Niebawem wyprowadzam się do Minneapolis na studia. Mam nadzieję, że nowe miejsce przyniesie pewnego rodzaju ukojenie. Nadal nie mogę zapomnieć. Mam wrażenie, że za chwilę granatowy plecak opadnie na deski pomostu obok mnie. Zobaczą długie nogi Derecka wysuwające się przez barierki, a potem spojrzę w jego roześmianą twarz z tymi cudnymi piwnymi oczami i aureolą złotych loków, rozświetloną przez promienie zachodzącego słońca.

Przychodziliśmy tu prawie codziennie. Kupowaliśmy na stacji pakowane osobno American Pie's i objadaliśmy się nimi na tym pomoście. Odrabialiśmy tutaj lekcje. Pierwszy raz się całowaliśmy...

Woda w rzece chlupocze wesoło, jakby tragiczne zdarzenia sprzed pięciu miesięcy nie miały miejsca. Moje głupie serce cały czas ma nadzieję, że znajdę jakiś sposób. Gdybym mogła cofnąć czas.

Przez pierwszy tydzień od wypadku w ogóle nie wyszłam z pokoju. Nie potrafiłam przyjąć do wiadomości, że już nigdy go nie zobaczę. Odmówiłam później uczestnictwa w nocnym czuwaniu i ceremonii pogrzebowej. Przytulona do jego bluzy, którą mnie kiedyś okrył, spędziłam czas w łóżku, płacząc i przeklinając.

Potem miałam jeszcze epizod ataku hysterii na cmentarzu. Była smolista i dusząca noc. Tkwiłam nad grobem, patrząc apatycznie w kamień z imieniem i nazwiskiem, dopóki kopiący groby człowiek nie zadzwonił po rodzinę.

Rodzice postanowili zapewnić mi pomoc i opłacili sesje terapeutki, która tylko działała mi na nerwy, bo zadawała masę dziwnych pytań.

Tak więc oto znalazłam się tutaj, czując się jak jeden z wielu śmieci płynący w rzece bez większego sensu.

– Wiedziałam, że cię tu znajdę. – Słyszę za sobą donośny głos Alex, mojej młodszej siostry. Czuję na spiętych plecach jej delikatne dłonie. Zaczyna mnie czule masować. – Mam dobre wieści.

Akurat.

Milczę, bo nic w obecnej rzeczywistości nie wydaje mi się być dobrą wiadomością.

– Bunia przylatuje! – Alex piszczy nad moją głową. Jest taka pełna życia i energii.

Uśmiecham się bez entuzjazmu. Alex mówi tak na naszą babcię, która mieszka w Polsce. Nie wszyscy ludzie dobrze reagują, kiedy wspominam o tym, skąd pochodzi nasza rodzina. Niektórym wydaje się, że Polska to kupa śniegu, gdzie neandertalczycy walczą z niedźwiedziami o mięso. Tak więc... Nie chwalę się tym.

Bunia wygląda jak uosobienie tego, co w przesądach i stereotypach najgorsze. Ogólnie z tego, co opowiadała, dowiedziałam się, że nieliczni pielęgnują słowiańskie tradycje. Większość narodu pogańskie obrzędy traktuje z przymrużeniem oka.

Z westchnieniem pozwalam się wziąć siostrze za rękę i podciągnąć do góry. Słomkowe włosy zaplotła w dwa ciężkie warkocze i coś w jej urodzie sprawia, że wygląda jak prawdziwa Słowianka. Taka z obrazów namiętnie składowanych przez Bunię, w wianku z czerwonych kwiatów i ludowym stroju. Może to te piegi na nosie? A może niebieskie oczy?

W ciepłym świetle zachodzącego słońca jest po prostu piękna i urocza.

Wsiadamy na rowery i ruszamy w kierunku domu.

Alex stara się zagaić rozmowę. Świergocze o tym, że będziemy przygotowywać na przyjazd babci tradycyjne polskie potrawy.

– Upieczemy bochny chleba przeplatane jak warkocze! – mówi wyraźnie zafascynowana rodzimą kulturą.

– Nie przewróć się – rzucam jedynie, widząc, że przed nami na leśnej ścieżce wiją się polacie korzeni.

Zapach jedzenia wita nas już na zewnątrz, kiedy otwieramy drzwi garażu, żeby wstawić tam rowery. Słyszając, że wpadamy do domu, mama oznajmia, że kolacja gotowa. Stoi w fartuchu przy drzwiczkach od piekarnika i zakłada wielkie rękawice, żeby wyjąć warzywną zapiekankę. Złociste włosy upięła w niedbały koczek.

– Nie jestem głodna – rzucam tylko i wspinam się po stopniach na górę. Ignoruję smutne spojrzenie siostry, która odprowadza mnie wzrokiem.

Zamykam drzwi i padam na łóżko, jednocześnie włączając muzykę „The Furious mustache”, ulubionego zespołu Derecka.

Chwytam bluzę z oparcia krzesła i przytulam desperacko. Mam wrażenie, że zapach już wywietrzał. Zaczynam wpadać w panikę, bo nie mogę sobie przypomnieć dokładnie, jak pachniał. Były tam nuty piżmowe, trochę wody kolońskiej, której używał i zapach Derecka, którego nie umiem do niczego porównać. Jedyne unikalny zapach, który dawał mi namiastkę bezpieczeństwa i ciepła, którą obdarzały mnie jego ramiona. Dawno.

Nie. Nie chcę tego stracić. Niepowstrzymane łzy ponownie pojawią się w moich oczach. Cierpię... tak mocno cierpię...

2 ROSALIE

Bunia wyróżnia się swoim strojem wśród przechodniów na lotnisku. Na głowie nosi chustkę z ludowymi wzorami. Mimo dojrzałego wieku jej włosy mają kolor krwistoczerwony, a twarz prawie w ogóle nie jest pomarszczona. Nie wygląda na babcię. Zasłaniam twarz daszkiem czapki, bo chyba obok barierek stoją jakieś osoby ze szkoły.

Moja siostra zrywa się do biegu i wpada w ramiona babci, niwecząc mój plan pozostania niezauważoną. Słyszę, jak chłopcy z naszego miasta rozpoznają nas, patrzą na ekscentryczną babcię i zaczynają się śmiać. Pogardliwe syki: Rosja, Polska – przyprawiają mnie o skręt żołądka. Przyglądam im się ukradkiem, bo nie jestem pewna czy się znamy. Jeden ma kolczyk w uchu. Możliwe, że są w moim wieku, tego blondyna kojarzę ze szkoły. Stojący obok czarnoskóry koleś wygląda mi jak lokalna gwiazda kosza.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię, kiedy babcia głośno wita się po polsku z całą rodziną. Zaciskam usta w wąską linię i przytulam Bunię, która w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje kilka stóp dalej. Patrzy na mnie błyszczącymi zielonymi oczami i uśmiecha się promiennie. Czuję zapach ziół, którym pachną jej ubrania.

– Pofarbowałaś włosy! – Bierze w palce kosmyk moich różowych pukli i przygląda im się z zainteresowaniem. Spodziewam się krytyki od konserwatywnej babci, ale mnie zaskakuje. – Bardzo twarzowo.

Mój wzrok wędruje do podśmiewających się chłopaków. Czuję gorący rumieniec wstydu na policzkach. Babcia kiepsko mówi po angielsku, ale lepiej niż ja po polsku. Mam wrażenie, że coś mamrocze pod nosem. Chłopcy nagle przestają się śmiać. Dosłownie ich śmiech się urywa, jakby ktoś wyłączył im zasilanie. Wpatrują się tępo przed siebie z minami zastygłymi w wyrazie przerażenia.

Tata wita się z Bunią mocnym uściskiem. Opuszczamy gigantyczne lotnisko, a ja raz po raz odwracam głowę w kierunku śmieszków, którzy nadal dziwnie się gapią w przestrzeń.

– Jak się miewa moja Różyczka? – Bunia bierze mnie za dłoń i posyła mi kolejny uśmiech. Nagle ból w mojej klatce piersiowej trochę tępieje. Jej obecność jest na swój sposób krzepiąca i poprawia mi nastrój.

– Bywało lepiej – odpowiadam. Bunia radośnie stawia nogę przed nogą, jej spódnica w maki faluje z każdym krokiem. Babcia ma więcej sił do życia niż ja.

Alex dopada naszej gościni z drugiej strony. Tata za nami taszczy ciężki kufer, a mama ciągnie za rączkę walizkę, na którą zarzuciła materiałową torbę. Wchodzimy na podziemny parking. Rodzice pakują wszystko do samochodu, kłócąc się o ułożenie w bagażniku. Przed przyjazdem na lotnisko byliśmy jeszcze na zakupach spożywczych i samochód jest wypchany po brzegi.

Bunia pozwala nam wejść pierwszym do auta.

Bagażnik z tyłu trzaska, a ja widzę napiętą minę mamy, kiedy przechodzi obok okna. Rodzice zawsze się mocno kłócą, kiedy ktoś nas odwiedza.

– Różyczko, Oleńko. – Babcia podejmuje próbę zagajenia rozmowy, zapinając jednocześnie pas. – Jak mocno za wami tęskniłam! Tak się cieszę, że znów jesteśmy razem! Uprawiacie zioła, które wam wysłałam Fedexem?

Dziwnie się czuję, kiedy babcia zwraca się do nas polskimi zdrobnieniami. Nasiona, które były w paczce, wyrosły pięknie pod ręką mamy i siostry i zdobią teraz kuchenny parapet.

– Wolę Rosalie – bąkam, na co Alex szturcha mnie ramieniem w bok.

Babcia wyjmuje ze swojej płóciennej torby dwa prezenty, opakowane w beżowy papier, czerwone wstążki i zioła. Alex piszczy tak głośno, że aż zmienia mi się ciśnienie w uszach. Z grymasem wyciągam z kokardy zmiażdżone źdźbło lawendy. Siostra widzi moją minę, trąca mnie po raz kolejny i posyła mi wymowne spojrzenie. Nie chcę, żeby Buni było przykro, więc staram się zapanować nad wyrazem twarzy. Rozrywam papier i przeciągam palcami po twardej okładce z nadrukiem liści paproci. Nie umiem odczytać napisu, bo jeśli mam być szczerą nie przykładałam się do nauki polskiego.

– Świątynia Natury: Przewodnik po Praktykach Słowiańskich – odczytuje Alex radośnie, po czym zagłębia się w lekturze pierwszego rozdziału.

Otwieram książkę bez większego zainteresowania. Na pierwszych stronach witają mnie szkice Słowianek, ćwiczących gimnastykę. Niezbyt wiele rozumiem z opisów, więc skupiam się na obrazkach.

Wianki, warkocze, kwiaty, symbole. Książka jest wydana w przepiękny sposób z dbałością o każdy detal. Przesuwam palcami po tłoczeniach na okładce i dopiero po chwili widzę, że na miejscu autora widnieje nasze nazwisko. Kamińska.

– To ty ją napisałaś?!

Bunia kiwa głową z iskierkami w oczach.

– Wow.

– Ta książka zawiera podstawowe informacje, które chciałam wam przekazać. Gimnastyka słowiańska dla kobiet, rytuały, zabiegi pielęgnacyjne...

Zerkam na gładką skórę Buni i na płonące włosy. Dostrzegam na jej twarzy piegi, co świadczy o tym, że jest bez pudru. Ja swoje codziennie ukrywam pod grubą warstwą fluidu.

Parkujemy pod naszym domem, który zbudowano na nieforemnej skarpie. Część dolna, przy tarasie jest ceglana, natomiast od parteru obito elewację białymi deskami.

Bunia wysiada i patrzy na nasz dom zamyślonym wzrokiem. Czuję, że będzie coś krytykować, bo podjazd wygląda na zaniedbany. Trawa prosi się o koszenie, co też właśnie jest uprzejma wypomnieć mama tacie cichym warknięciem.

Rodzice wnoszą bagaże, posyłając sobie wrogie spojrzenia.

Bunia nic nie mówi, pomaga mamie z walizką na nierównej ścieżce prowadzącej do drzwi frontowych.

W środku wita nas zapach pieczonego mięsa.

Wszystko jest przygotowane tak, aby zrobić na mojej babci pierwszorzędną wrażenie. Mama i Alex musiały sprzątać dom cały ranek.

Stół w jadalni jest zastawiony talerzami i kieliszkami na specjalne okazje. Mama nerwowymi ruchami zaczyna swój taniec kuchenny. Widzę, jak jest zdenerwowana, bo pragnie, żeby wszystko wypadło perfekcyjnie. Od rana tylko się denerwuje i wszystkich czepia. Wszystkich oprócz mnie.

Prawdę mówiąc, od tego felernego zdarzenia pół roku temu, moja rodzina przestała mnie wciągać w domowe obowiązki. Wszystko robili za mnie, pozwalając mi wracać do siebie we własnym tempie.

Mama, wyjmując mięso, parzy się w palec i tłucze talerz. Momentalnie robi się czerwona ze złości. Bunia łagodnym ruchem łapie nadgarstek mamy i patrzy na oparzenie. Spodziewam się, że zaraz włoży go pod lodowaty strumień, ale zamiast tego każe mamie kręcić dłonią.

Patrzemy na to oniemiały. Tata właśnie wyjął surówkę z lodówki. Mama ze zdziwioną miną kręci ręką, podczas gdy Bunia coś mruczy.

– Lepiej? – pyta babcia, patrząc na skórę, która w miejscu oparzenia zrobiła się biała.

Mama przygląda się swojej dłoni z otwartymi ustami.

– Musisz mnie tego nauczyć.

Bunia kiwa z uśmiechem, a mnie puszcza oczko.

– Dziękuję za to, że tak cudownie mnie przyjęliście. – Mówiąc to, patrzy na mamę i wskazuje dłonią blat zastawiony smakowitymi przekąskami. – A teraz usiądź.

– To nic takiego – kłóci się mama.

– Róża i Oleńka mi pomogą – zapewnia ją Bunia i to wystarczy, byśmy wzięły się do roboty. Wraz z siostrą uwijamy się jak pszczołki. Alex zbiera porcelanę z podłogi, podczas gdy ja zanoszę wszystkie salaterki i stawiam na śnieżnobiałym obrusie. Bunia kroi mięso wielgachnym nożem, z którego spływa ciepły tłuszcz. Tata przekłada ziemniaki do porcelanowej miski w niebieskie kropki i posypuje koperkiem.

Chwilę później zasiadamy do stołu. Cieszę się, widząc, że nerwy rodziców wyparowały. Pokój wypełnia przyjemna atmosfera, którą Bunia nas zaraża. Nie wiem, jak ona to robi, ale jej obecność daje mi chwilę wytchnienia.

Bunia zaczyna nam opowiadać o znajomym dziennikarzu, który zasugerował jej, żeby napisała książkę.

Nie znalazła na nią wydawcy, ale postanowiła wydać ją w małym nakładzie, tylko po to, by dystrybuować ją wśród przyjaciół.

– Wiecie, jakie jutro jest święto? – Bunia pyta, jeżdżąc łyżką po pucharku od musu z białej czekolady. Mama przeszła samą siebie – deser z całą pewnością jest wybitny.

Kręcę głową z łyżeczką w buzi, a siedząca obok Alex gorliwie kiwa.

– Letnie przesilenie – melduje. – Zwane również Nocą Kupały, wedle tradycji dziewczęta plotą wianki, które puszczają na wodę.

Siostra wstaje i zaczyna tańczyć niesiona myślą o pogańskim rytuale.

– Później rozpalimy ognisko i będziemy tańczyć do białego rana.

Patrzę na nią sceptycznie.

– Po co?

– To taka zabawa – oznajmia Bunia z uśmiechem. – Dziewczęta puszczają wianki z intencją znalezienia miłości. Chłopcy po drugiej stronie je wyławiają, a potem szukają właścicielki. Jak znajdą, to są tak jakby na randce przez tę noc.

– Myślę, że Alex jest za młoda – wtrąca tata. – A Rose...

Wiem, co myśli. Rose nie ma zamiaru się bawić w takie głupie gry, bo i tak nie szuka żadnego chłopca.

– Mam już szesnaście lat! – protestuje siostra z oburzoną miną. Marszczy przy tym śmiesznie brwi, a usta układa w podkówkę.

Mama i tata wymieniają spojrzenia. Chociaż raz są zgodni.

– To całonocna impreza. Jesteś za młoda – mówi zdecydowanie mama. Widzę, że Bunia się z nią nie zgadza, ale nie krytykuje decyzji synowej. Uśmiecha się pogodnie do mojej siostry.

– Myślę, że za rok rodzice ci pozwolą.

Alex robi typową scenę obrażonej nastolatki. Wyładowuje się na przedmiotach martwych – w tym przypadku na oparciu krzesła, a potem biegnie z płaczem do swojego pokoju. Słyszę, jak krzyczy, że nikt jej nie rozumie.

– Pójdę do niej – mamroczę, szurając krzesłem.

Kiedy wchodzę do pokoju na poddaszu, moje oczy atakuje mnogość kolorów. Siostra ozdobiła lewą ścianę motywami ludowymi, na łóżku leży pstrokata narzuta, a na szafie na wieszakach zarzuconych na drzwi wisi słowiańska sukienka.

Siostra stoi tyłem do mnie, opierając dłonie z czerwonym manicurem o parapet trójkątnego okna.

– Alex... Nie martw się.

Odwraca się do mnie ze szklanymi oczami i ustami zaciśniętymi w wąską linię.

– To ja powinnam tam iść. Nie ty! – warczy oskarżycielsko.

– Jestem prawie trzy lata starsza – bronię się – poza tym wcale nie zamierzam iść.

To wyznanie jeszcze mocniej ją wkurza. Myślałam, że się ucieszy, że solidarnie zostaną w domu.

– Co za marnotrawstwo – syczy, a potem wypycha mnie za drzwi, które zamyka mi z trzaskiem przed nosem.

– Alex – mówię błagalnie.

– Wynoś się!

Wzdycham i kieruję się do mojego pokoju. Kiedy przechodzę obok schodów, słyszę, że rodzice i Bunia rozmawiają o jutrzejszym wydarzeniu. Ojciec jest zdecydowanie przeciwny.

– Wiesz, co tam się dzieje? – pyta z pretensją. – Nie chcę, żeby moje córki tam szły.

– Co się dzieje? – Słyszę zaniepokojony głos mamy.

– Nic złego się nie dzieje – mówi Bunia spokojnie. – Tańce i randki.

– Randki... ładnie to nazwałaś – odpiera tata zbulwersowanym tonem.

– Może Rose by się poprawiło, gdyby poznała jakiegoś chłopca – robi założenie mama. – Jan, nasza córka jest dorosła.

Prycham. Nie chcę dłużej słuchać tych idiotycznych rozważań. Jestem zażenowana tym, że ta trójca analizuje teraz czy jutro kogoś poznam i czy będę coś z nim robić.

Wracam do swojego pokoju i rzucam się na łóżko.

Kwadrans później słyszę, że mama i Bunia wychodzą. Wiem, gdzie jadą. Mama chodzi do Klubu Polskiej Książki, gdzie z koleżankami czytają rodzimą literaturę. Klub pełni przede wszystkim funkcję społeczną. Kobiety wymieniają się przepisami, radami, szczególnie radami. Odgarnąwszy roletę, wyglądam dyskretnie przez okno. Samochód odjeżdża z podjazdu. Pomimo kłótni mama i Bunia mają uśmiechy na twarzach.

Tata ze złością odpala kosiarkę. Kiedy urządzenie protestuje i umiera, kopie je i przeklina siarczyście.

3 ROSALIE

Mimo tego, że bardzo się opierałam, mama i Bunia w końcu dają radę namówić mnie na udział w tym dziwnym wydarzeniu. Zgodziłam się dla świętego spokoju. Dodatkowo Alex przyszła do mnie w nocy i nakłoniła mnie do tego. Wzięła mnie pod włos, twierdząc, że przyjazd Buni akurat teraz nie był przypadkowy. To święto jest dla babci bardzo ważne. Powinnam wykrzesać z siebie odrobinę wdzięczności za to, co wszyscy dla mnie robią. Nie chciałam być dla nikogo kulą u nogi ani sprawić babci przykrości, dlatego się zgodziłam. Miałam zamiar posiedzieć chwilę, zrobić byle jaki wianek, który od razu zatonię i oszczędzi mi niewygodnej sytuacji, kiedy jakiś koleś zostanie skazany na wieczór ze mną.

Kazały mi włożyć białą sukienkę.

Ze względu na bezpieczeństwo zdecydowano, że zabawy Nocy Kupały zorganizowane zostaną na plaży jeziora Wazee, a nie przy rzece, która ma rwący prąd.

Zachodzące słońce przebija się przez listowie drzew okalających jezioro i błyszczący w tafli wody. Przygotowania idą pełną parą.

Z tego, co słyszałam mamy zapleść wianki, a potem chłopcy po nie wejdą do wody. Co za beznadzieja. Kiedy docieram na miejsce, przygotowania idą pełną parą.

Koleżanki mamy kroją upieczone wcześniej bochny chleba. Słyszę, jak noże z ząbkami kruszą chrupiącą skórkę. Młodsze dziewczyny ozdabiają stoły kwiatami, śpiewając słowiańską pieśń, której słów nie jestem w stanie zrozumieć. Część osób nosi rodzime białe stroje. Inni postawili po prostu na amerykańską klasykę, białe koszulki i džinsy. Chłopcy w moim wieku ustawiają drwa pod ognisko, jednocześnie zerkając na dziewczyny.

Czuję nieprzyjemny dreszcz, który wiąże się z byciem ocenianą. Jeden z nich – chłopak z lokami i brązowymi oczami zawiesza na mnie długie spojrzenie. Pierwszy raz go widzę, ale gapi się tak intensywnie, że w końcu macham mu ręką, na co odpowiada uśmiechem.

Ze swoimi różowymi włosami i ponurymi myślami nie pasuję do radosnej atmosfery przygotowań. Myślę tylko o tym, żeby znowu położyć się w łóżku z bluzą Derecka i wzięwszy podwójną dawkę leków wyciszających zwyczajnie zasnąć.

Bunia i mama zaczynają wesoło rozmawiać z innymi organizatorkami, podczas gdy próbuję znaleźć sobie coś do roboty. Układam na stole jabłka i gruszki, które mam w koszyku. Znajduję tu prawdziwe polskie łakocie: jagodzianki, ciasta drożdżowe, kiszonki, również różne mięsa i smalec. Dziewczeta nie przestają śpiewać, ich głosy tworzą mistyczne i przyjemne tło do przygotowań. Trochę żałuję, że nie znam słów. Alex na pewno dołączyłaby do dziewczyn. Szkoda, że nie pozwolono jej przyjść nawet na początek.

Podczas przygotowań obserwuję społeczność, która ewidentnie cieszy się z nadchodzącego obrzędu. Widzę, że dojrzałe kobiety zaczynają uczyć te młodsze tańca wokół ogniska. Bunia łapie mnie za nadgarstek i dołączamy do grupy. Dwa kroki w prawo, przeplatanka w lewo, podskok, dwa kroki przodem, obrót...

Oprócz osób z europejskimi korzeniami przyszło tu mnóstwo amerykańców, którzy chcieli spróbować czegoś innego.

– Chyba sobie ciebie upatrzył – mówi dziewczyna o kasztanowych włosach. Koleś w loczkach tańczy po drugiej stronie kręgu i znowu się na mnie gapi. – Tak zawsze jest. Patrzą nam na ręce, żeby potem wyłowić nasz wianek.

– Jestem Kasia. – Porusza się jak wiotka rusalka, podczas gdy ja stawiam słoniowe kroki. Już się zadyszałam.

– Rose.

Dziwnie się czuję, z tym że sobie mnie wybrał. Odwracam wzrok. Chyba nie jestem gotowa, żeby poznać kogoś nowego. Nie... Nie wiem, czy kiedykolwiek będę.

Kiedy już mniej więcej nauczyliśmy się podstawowego układu, przychodzi czas na coś trudniejszego, więc od razu mówię, że odpadam. Idę usiąść na koc, na którym postawiono wielki kosz pełen kwiatów.

Kątem oka przyglądam się chłopakowi. W jego urodzie jest coś, co kojarzy mi się z Dereckiem. Mój typ. W innym świecie pewnie mógłby mi się spodobać. W innym świecie, w którym moje serce nie jest zlodowaciałą skorupą. Przykro mi, ale już wiem, że go nie chcę. Nawet nie zamierzam się wysilać i go poznawać. Nigdy nie zastąpi Derecka.

Koło mnie siada Bunia i chwyta pierwszy kwiat.

– Robisz wianek? – Zachęca z uśmiechem.

– Nie.

– Czemu?

– To głupie.

Oczy Buni są ciemnozielone i kojarzą mi się z drogimi kamieniami. Widzę w nich rozczarowanie.

– Nie jestem gotowa – mrużę, patrząc na to, jak Loczek teraz podchodzi do kadzi z zimnym napojem po drugiej stronie ogniska.

– Magia naszych przodków może ci pomóc przez to przejść – Bunia obejmuje mnie ramieniem – po prostu spróbuj.

Parskam.

– Chyba naprawdę w to nie wierzysz? – Unoszę brew.

– W co?

– No w to wszystko?

– Oczywiście, że wierzę – mówi z ogromnym przekonaniem. Zaczyna zaplatać wianek z czerwonych kwiatów. Śledzę wzrokiem metodyczne ruchy smukłych palców. – Słowa wypowiedziane z intencją mają ogromną moc. Jeśli oddasz wianek Bogom, prosząc o chłopca, którego pokochasz, jestem pewna, że twoje pragnienie się spełni.

Ponownie parskam z niedowierzaniem. Bunia podaje mi wianek, niezrażona moją reakcją. Zaciskam wargi i zaczynam się brać za zaplatanie. Nie wychodzi mi tak dobrze, jak babci. Mój plan jest taki – wezmę udział w tym obrzędzie, a po wszystkim powiem babci, że się myliła. Bo żadna moc Bogów nie jest w stanie oddać mi Derecka.

Chwilę później dołączają do mnie Kasia i inne dziewczyny. Jest nas wszystkich piętnaście. Wszystkie są ubrane w zwiewne sukienki przepasane czerwonymi szarfami i mocno podekscytowane. Bez przerwy nawijają o tym, którego chłopca by chciały zobaczyć ze swoim wiankiem, tym samym męcząc mnie okrutnie. Niektóre z nich mają białe znaki narysowane na twarzach.

Słucham ich jednym uchem, próbując zapleść przyzwoity splot. Niestety... jest beznadziejnie, kwiaty odstają, wszystko wygląda jak sklezione na ślinę. Kasia widzi moje nędzne wysiłki i się lituje. Siada na piętach obok i dobiera więcej kwiatów z koszyka, którymi ratuje to „coś”. Mocniej związuje łądygi, dzięki czemu wianek zaczyna mieć kształt koła. Podaje mi go do rąk.

– Dzięki – bąkam, patrząc apatycznie na czerwone sterczące kwiaty, które nowa znajoma próbuje doprowadzić do porządku. Wybrzmiewa kolejna słowiańska pieśń. Jedna z dziewcząt wybija rytm na bębenku.

Trzask ogniska jest miłym akompaniamentem dla melodii. Mimo to nie potrafię cieszyć się tą chwilą.